

Katarzyna Pyrz

U nas w Hura Hura!



Katarzyna Pyrz

U nas w Hura Hura!

© Copyright by
Katarzyna Pyrz & e-bookowo 2019

Korekta
Marek Szulc

Projekt okładki
Aleksandra Wierzbńska

ISBN 978-83-7859-998-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2019

[Kup książkę](#)

*Wszystko, co byście chcieli, aby wam ludzie czynili i wy im
czyńcie – chrześcijaństwo.*

Nie czyń swojemu bliźniemu tego, czego sam nienawidzisz.

To jest prawo, cała reszta to komentarz – judaizm.

*Nikt nie może być osobą wierzącą, dopóki nie pragnie dla
swego brata tego, czego pragnie sam dla siebie – islam.*

*Oto podsumowanie twojego obowiązku: nie czyń drugiemu
czegoś, co przyniosłoby ci ból, gdyby tobie uczyniono – hin-
duizm.*

*Nie rób w stosunku do innych niczego, co sam uważasz za
szkodliwe – buddyzm.*

*Nie czyń sobie w niczym wroga, ponieważ Bóg mieszka
w każdym człowieku – sikhizm.*

*Szacunek do całego życia to podstawa – wierzenia rdzen-
nych Indian.*

Rozdział 1

Czytelnik nierzadko utożsamia się z bohaterami książek – szuka czegoś, co łączy go z głównymi postaciami. Każdy chce być kluczowy i grać pierwsze skrzypce.

Andreas Piotrowski napisał w swoim – nie tak wcale długim – życiu już wiele, lecz nigdy nie odniósł prawdziwego, literackiego zwycięstwa. A marzył o nim jak każdy bohater pierwszego planu. Rozumiał, że nie jest łatwo trafić do tak różnych czytelników, toteż bywało, że zawęzał grono odbiorców. Pisał dla dzieci, by już za chwilę porzucić je dla młodzieży, potem kobiet, skończył natomiast na pasjonatach morderstw.

Mimo ciągłych zmian jego książki wciąż ustawiano na dolnych półkach, tam, gdzie nie chce się człowiekowi schylać. Dobrze, że on, Andreas Piotrowski, pisarz tuzinkowy – był towarzyski i jednak przystojny. Jego ekstrawertyzm plus urokliwy uśmiech ratowały go nie raz, poza tym miał gibki język. Dzięki takim cechom miał w wydawnictwach liczne znajomości. Uwiódł kiedyś redaktorkę oficyny „Twarda okładka”, Anielę, zimną rozwódkę, mającą za nic mężczyzn, ale nie Andreasa. To ona wprowadziła w ruch jego

sztukę pióra, zajmowała się korektą dzieł pisarza, potem drukiem, powielaniem, wszystkim, co tylko służyło dobru Piotrowskiego. Miał on też nachalne szczęście. Przytłoczonego fartem Andreasa posądzano często o brak rozumu. Miał obfity umysł, ale cóż mógł zrobić, jeśli ta pomyślność prześladowała go nagminnie, molestując zarazem.

Piotrowski pragnął pozbyć się tego szczęścia, nawet zakładał na nie pułapki, pakując się nieraz w tarapaty. Cóż, zawsze wychodził z nich obronną ręką. Poniekąd miał wrażenie, że to nie jego ręka go broni. Mając szczęście w kieszeni, Andreas powinien czuć się szczęściarzem, nie czuł się jednak, głównie dlatego, że miał tytuł artysty tylko przyzwoitego pośród kolegów pisarzy, wydawców, a co najgorsze – czytelników. Określenie „przyzwoity” działało na niego dosadnie, pozbawiając chęci do pisania. Nie cierpiał tego epitetu. Mimo to musiał pisać, co jak co, ale to w życiu wychodziło mu najlepiej. Mógłby też nie robić nic, ale niestety na papierosy w miesiącu przeznaczał dużo pieniędzy.

Pisarz często szukał weny, zwykle na spacerach, długie wędrówki skutecznie niezależnie od pory roku. Bywało, że w jej poszukiwaniu paradoksalnie zaglądał w największe brzydkie dziury w mieście, zakryte przez „estetykę urbanizacji”. Czuł się niczym szczur lubujący w brudzie i w odpadkach, mimo to nie mógł zaprzestać szukania. Wszak przecież wszędzie mogło być ukryte natchnienie.

Po alkohol też sięgał, pewną powieść obyczajową napisał całkowicie upojony wódką. Łatwo mu szło na rauszu opisywanie środowiska i życia ludzkiego, a metafory same

wyskakiwały z nabitego procentami mózgu. Co z tego? Książkę, owszem, wydano jak zawsze, ale nie spotkała się z wiwatem odbiorców, aczkolwiek jeden krytyk napomknął w swojej recenzji, że Andreas Piotrowski w końcu ujawnił przed czytelnikiem swój trzeźwy i jasny umysł.

Dzień, który odmienił pióro Piotrowskiego przyszedł znienacka. Poszukiwanie muzy przez pisarza stanowiło jego najważniejszą część. Wstał więc z taką myślą i – jak za każdym razem – pierwsze kroki skierował w stronę okna. Aura na zewnątrz nastroiła go dość szybko pozytywnie, dokładnie przedstawiała przed nim symptomy zakręconego kwietnia. Śnieg z deszczem sypał leciutko, a to wszystko oświetlone było skromnym jednakże jeszcze promieniem słonecznym. Piotrowski uśmiechnął się pod nosem, odsłonił żółtą firanę, wcześniej jednak odgarnął smugę dymu, dającą wrażenie wiecznej mgły i otworzył szeroko okno. Odetchnął następnie tak mocno, jak tylko palacz potrafi i łyknął duszkiem zimną kawę. Ustawił kubek z płynem poprzedniego wieczoru na parapecie, gdy liczył pijaków snujących się ulicami. Dodawanie działało na niego odprężająco, w końcu łagodziło napiętą do granic wyobraźnię.

Śniadania z reguły Piotrowski nie jadał, pierwszym jego posiłkiem był wczesny obiad, podawany mu przez kelnera w jego ulubionej knajpce, gdzie prócz niego przesiadywali również studenci oraz biznesmeni mający spotkania biznesowe. Pojawiały się też w niej od czasu do czasu prostytutki, oferujące mu swoje wszechstronne usługi. Andreas,

w końcu zawsze w kimś szczerze zadurzony, od niedawna po uszy w swojej przebojowej sąsiadeczce, z ofert tych pań nie korzystał. Korzystał natomiast z porannej toalety. Prysznic pobudzał go do działania, zawsze brał zimny, jamie ustnej poświęcał pięć minut, mięta pasty do zębów wywoływała w nim skojarzenia świeżego i wyostrzonego oddechu, jak również spojrzenia.

Tego dnia także rytualnie poddał się higienie, dodatkowo ogolił. Nie robił tego codziennie, lubił, gdy kobiety widziały w nim nieposkromionego artystę. Zdecydowanie inaczej myślała sąsiadka z przeciwka, z którą Andreas zaplanował się dziś spotkać. Ona skłonna była zdecydowanie ku jego gładkiej brodzie, niedrażniącej jej delikatnej, bo skłonnej ku pieszczotom skóry.

Wychodząc z łazienki obrał kierunek ku starej szafie. Otworzył drzwiczki, usłyszał nienaoliwiony dźwięk i wyciągnął spodnie ulubionego luźnego kroju. Miał takich par dużo, a wszystkie tego samego fasonu, choć innego koloru po to, by nikt nie pomyślał, że codziennie zakłada te same. Określenie „przyzwoity” wystarczająco go dołowało, z „niechlujem” już pewno by sobie nie poradził. Wymyślił Andreas, że każdemu dniu tygodnia będzie przypisany jakiś inny kolor spodni. Czwartkowi przeznaczone były te barwy szarej. Włożył je w pośpiechu na siebie, zupełnie nie rozumiejąc, czym owa szybkość jest spowodowana, następnie wślizgnął się w kremową koszulę z szerokim kołnierzem, a to wszystko pokrył granatowym płaszczem ze stójką, stopy zabezpieczone frotowymi skarpetkami wsunął

natomiast w granatowe oficerki. Gotowy do poszukiwań natchnienia, narzucił na siebie jeszcze szaro-czerwony szal, by chronił jego najwrażliwsze miejsce ciała, a mianowicie gardło. Zmagał się biedny Andreas przynajmniej pięć razy w roku z ciężkim nieżytem gardła, przyjmował to jednak ze spokojem, tak, jak swoje wyczulone zmysły, z nimi musiał żyć przecież nieustannie.

Piotrowski mieszkał na piątym piętrze ohydneho wieżowca, mimo to podejrzewając siebie o lęk przestrzeni, nigdy nie godził się na podróżowanie windą. Schodząc po schodach, wpadł na pomysł, że dziś poszukiwać będzie natchnienia w samym centrum miasta, bez zaglądania do jego ciemnych zaułków. Ostatnio w dzielnicy dziwactw znalazł walizkę ze znaczkami. Znajomy filatelista po dokładnym obejrzeniu klaserów stwierdził, że są one warte kilkanaście tysięcy. Andreas, nie chcąc drażnić sumienia, oddał zdobyć w ręce policji, po czym postanowił na dłuższy czas omijać podejrzane miejsca, a natchnienia szukać w dostępnych i zwyczajnych ulicach miast, zahaczając od czasu do czasu o snujących się nimi pośpiesznie przechodniów.

Osiedle, na którym Piotrowski mieszkał, napawało go wyłącznie odrazą. Bloki z płyt zajmowały całą jego powierzchnię, poza miejscem na parking i skwerkiem na kiosk, gdzie kupował co drugi dzień paczkę westów mentolowych. Dziś dodatkowo kupił gumy do żucia, wciąż przemawiała doń myśl miłego popołudnia ze zwinnym ciałem dojrzałej sąsiadki.

Zapalając papierosa, rozglądał się jednocześnie wokół

siebie, czuł, że dosięga go jakiś niepokój, nie wiedział za bardzo, czym on jest spowodowany, miał jednak wrażenie, że ktoś go obserwuje. Jego obawa mogła być wywołana tym, że jeszcze niedawno, chcąc wybić swoje fabuły ponad przeciętność, chłonał nie swoje prozy, poświęcając im cały wolny, lecz bezcenny czas. Najmocniej utknał w kryminałach, trudno określić, ile przeczytał, jednak gdyby były one na wagę – wyszłaby tona, nawet dwie.

Pytanie „kto zabił?” nie było mu obce. Co gorsze, odnalazł w sobie, w trakcie cieszenia oczu mętlikiem wątków, brak zaufania wobec drugiego. To pociągało za sobą nawyk, przejawiający się w molestowaniu pytaniami każdego, kogo napotkał. Podejrzani dla niego byli wszyscy. Spotykając go po raz pierwszy, można było odnieść wrażenie, że ma się do czynienia z policjantem pozbawionym służby, a mającym wciąż jednak predyspozycje zawodowe. Zdając sobie sprawę z traktowania przez siebie drugiego jako potencjalnie winnego, Piotrowski postanowił temu zaradzić i zwrócić swoje oczy ku romansom, wszak i tak był przesadnie uczuciowy. I to pewnie dlatego nigdy nie postawił swej stopy na ślubnym kobiercu! On kochał kobiety różne, bywało, że w tym samym czasie, a one zważywszy na jego wyjątkową urodę – orli, wąski nos, oczy brązowe, przeważnie nieobecne, smukłe, jednak stanowcze dłonie – oddawały mu serce, ech, czasem i godność. Wyjątkiem była zwinna sąsiadka, dość długo nie nęcił jej – to również mu na plus – jego szeroki, wyrzeźbiony korpus, dzieła dłuta jego ojca, nieżyjącego już atlety. Zamydlone

i miałkie historie zakochanych po uszy rozanielonych kobiet nie odwróciły jego uwagi od kryminalnych wizji, wciąż prześwietlał ludzi i otoczenie.

Kiedy uspokoił swój wzrok, nie odkrywszy żadnych niepokojących widoków, ruszył w kierunku centrum wielkomiejskich założeń szukać natchnienia wśród pośpiechu i techniki. Myśl ta wywołała skromny uśmiech w jego kącikach ust:

„Co jak co, ale szukać skrzydeł w nowoczesności zdarza mi się po raz pierwszy” – zamruczał, mimo to wiedział, że natura coś mu ostatnio ich skąpi.

Piotrowski szedł powoli, poszturchiwany co chwilę przez biegnące za pieniądzem towarzystwo, w jakimś stopniu i on się za nim kierował, lecz jemu szybkość stanowczo nie służyła. Musiał iść krokiem wolnym, dającym mu możliwość śledzenia zjawisk leżących w sposobie poczynañ cywilizacji. Natknąwszy się na wysoką kobietę w szykownym płaszczyku i szpilkach, pomyślał, że może ona jest metaforą, którą później rozbuduje i osadzi w swojej prozie. Pomylił się. Gapiąc się na nią oczyma pragnącymi głębszej symboliki, oberwał jedynie w łydkę torbą bogatą w kanciasty laptop, poczuł przenikliwy ból. Nie zdziwiłoby go wcale zachowanie kobiety, gdyby w czasie, kiedy jej się przyglądał, spojrzął jednocześnie w lustro, zwierciadło ujawniłoby mu gębę zboczeńca wyzbytego zachowań i kodeksu moralnego. Określił ją w duchu feministką i poszedł dalej. Płynność jego ruchom znów zaczęła odbierać świadomość bycia prześladowanym, co chwila odwracał głowę,

szukając uzasadnienia myśli. W końcu znalazł.

Szedł za nim mężczyzna, stary, choć mocno wyprostowany, ubrany w tunikę i spodnie o jakich się mówi rybaczki. Piotrowski nie był do końca pewien, czy ów dziadga zmierza za nim. Musiał więc to sprawdzić, zmieniając kierunek, co za tym idzie – obierając zupełnie przeciwny, czyli wprost pod nogi staruszka. Ten, zorientowawszy się szybko w sytuacji, teraz oparł się o znak drogowy „stop” i udając, że przegląda mapę, gapił się spomiędzy legendy na świetnie już bawiącego się Andreasa, mijającego aktualnie drogowy symbol i opartego na nim. Piotrowski przebiegł jednym susem na drugą stronę ulicy. Nie zamierzał jednak wcale szybko pozbyć się prześladowcy, ruszył w związku z tym wolniej w kierunku kawiarenki z napisem „ptysie malinowe i rurki pistacjowe”. Kiedy doszedł do punktu przez siebie obranego, postanowił jeszcze raz odwrócić głowę, mężczyzny już nie było.

„Szlag, po raz kolejny wyobraźnia figluje ze mną, niechże ona w końcu znajdzie spełnienie w moim sukcesie pisarskim” – strofując siebie w myślach, usiadł przy stoliku przystrojonym baziarnymi i zamówił ptysia i kawę.

Rozkoszując się kremem, ubrudzony nim gdzieniegdzie, nagle spostrzegł tego podejrzanego faceta w tunice, siedzącego tuż przy oknie i też zajądającego ptysia. Uległ zaskoczeniu, ów stan skumulował się w odgłosach zakrzuszenia. Próbując okiełznać reakcję organizmu, Andreas klepał się niefortunnie po karku. Kaszel powoli ustępował, łagodniał też chaos myślowy w jego głowie. Kolejny

projekt sunął już w kierunku odnalezienia przyczyny zaistnienia zdziwaczalego facecika.

„W końcu jego obecność w tym miejscu może być po prostu przypadkowa. Każdy wszak może objadać się kremem do woli, zważywszy jeszcze na fakt, że ten gość akurat jest szczupły” – kombinował niemo pisarz, wpadając równocześnie na pomysł, że jeszcze raz podda podejrzaną jednostkę próbie. Należało tylko wymyślić jakiej. „Muszę stąd wyjść i udać się w takie miejsce, gdzie będzie mało ludzi” – mruczał głęboko w siebie. – „I zarazem takie, niewpisujące się o tej porze w niczyj porządek dnia. Wiem, kościół będzie świetnym punktem w czwartek” – uśmiechnął się Andreas triumfalnie do ptysia, połknął go w pośpiechu, kawę zignorował i wyszedł ze słodkiej kawiarenki. Nie patrząc specjalnie ani razu na dziwaka, siedzącego już teraz z podciągniętymi nogami, ułożonymi na krzyż na stołku i jedzącego paluchem tylko krem. Cudak był wystarczająco chudy, smukły i najwyraźniej giętki, jego postać cała zmieściła się na krześle.